

ALEXI ZENTNER
DOTYK

PREMIERA: WRZESIEŃ 2013

Wydawnictwo Wiatr od morza

{ fragment 1 }

Drzewa cisnęły się tak gęsto przy brzegach rzeki Sawgamet, że Jeannot nie miał wielkiego wyboru. Musiał odbić od rzeki, wspiąć się na wzgórze i podążać za strumieniem w głąb lasu. Jego pies przemknął obok i pobiegł w górę, przez nakrapiany światłem mrok, zatrzymując się tylko raz, by powęszyc w powietrzu, a potem ruszył dalej.

Jeannot miał szesnaście lat i wędrował już na tyle długo, że mrok i las nie powinny być mu obce ani straszne, ale – choć nie było wiatru – słyszał, jak drzewa poruszają się w szeleszczących szeptach, które brzmiały niczym głosy. Pomyślał, że gdyby odwrócił głowę dostatecznie szybko, mógłby zobaczyć, kto mówi. Toteż trzymał głowę pochyloną i siedł bardzo skupiony. Chciał opuścić te lasy jak najprędzej, by znowu podążyc wzdłuż zakola Sawgamet i znaleźć miejsce, w którym można by się zatrzymać i szukać złota w rzece. Równocześnie z odgłosami drzew chłopak słyszał dyszenie psa; gdy Jeannot niepewnym krokiem przeszedł przez smugę światła, zauważył, jak jego towarzysz wychudł.

I wówczas szepty nadpłynęły z cienia wyraźne i niezmacone; chłopak usłyszał, że ktoś woła go po imieniu.

Jeannot.



Tym chłopakiem był oczywiście mój dziadek, przed sześćdziesięciu z górą laty. Z wiekiem Jeannot urósł wysoki i barczysty. Tego dnia – kiedy założył to, co później miało się stać Sawgamet – Jeannot miał szesnaście lat, był chudy jak osa, mocny jak żelazo i potrafił zarówno innym dawać niesłychany wycisk, jak i samemu go znosić.

Rozmawiając ze mną żartował, że przemierzył kontynent w nieustannej walce, zbierając w czasie podróży ciągi tak ostre i częste, że jego nos z ledwością zdołał utrzymać się na swoim miejscu. Nigdy jednak nie powiedział mi, dlaczego opuścił sierociniec, ani dlaczego odszedł z seminarium. Tylko raz – kiedy z ojczymem zostali do późna w gabinecie i tam rozmawiali, a ja byłem niby pochłonięty lekturą – usłyszałem, że wspomniał o dziewczynie, którą kochał; ale to tylko domysł, że akurat dlatego porzucił katolickie seminarium, wyniósł się z sierocinca i przemierzył całą Ziemię Ruperta. Jeannot zawsze opowiadał historie zaczynające się od momentu, gdy dotarł do Sawgamet; nic z jego wcześniejszego życia się nie liczyło.

Myślę o dzisiejszym Sawgamet – mieście ruchu, światła i dźwięku, gdzie przejeżdża pociąg i gdzie kino gra jeszcze *Czarnoksiężnika z krainy Oz*, gdzie do domów doprowadzona jest elektryczność, a na przyszły rok spodziewamy się linii telefonicznej – i trudno jest mi sobie wyobrazić, jak tu musiało być za czasów dziadka. Wciąż są takie miejsca w lesie, gdzie można się zgubić, chociaż z czasem coraz trudniej je znaleźć, zwłaszcza jeśli to ja ich szukam. Nie podróżowałem tak daleko ani nie widziałem tak wiele jak niektórzy, ale byłem za linią frontu jako kapelan, kiedy szturmowaliśmy wzniesienie pod Vimy i broniliśmy Wzgórza 70, a świat zmienił się tak bardzo od tego pierwszego dnia, gdy dziadek przybył do Sawgamet, że gdy pomyślę, jakiej ciszy tu doświadczył, to jest to przerażające, prawie niewyobrażalne. Znam historie, które mi opowiedział i historie, które opowiedzieli mi inni, a do tego wiem, jak Sawgamet wyglądało, gdy byłem dzieckiem – są jednak w historii miasteczka luki, które mogę zappełnić jedynie domysłami.

Wynika to poniekąd z tego, że pewne rzeczy są specyficzne dla Sawgamet – coś jest w zimnym odosobnieniu tej osady – i z tego względu Sawgamet sprawia wrażenie, jakby istniało w swojej własnej rzeczywistości. Gdzie indziej, na wschód i na południe od nas, mężczyźni splawiają

kłody na wiosnę, korzystając z wody huczącej po roztopach; tymczasem Sawgamet ma własną, wewnętrzną logikę. Było kiedyś tak, że zimą nie dało się tu pracować na wycince – soki zamarzały na kamień, palce drwali kuliły się z odrętwienia, a śnieg stanowił trudną do przebycia przeszkodę – mężczyźni splawiali więc drewno jesienią zamiast wiosną i starali się to robić tuż przed zamrożeniem rzeki, aby zyskać jeszcze kilka dni na ścinanie drzew. Nawet teraz, gdy drwale pracują przez całą zimę, gdy kolej przyszła do miasta, a konie zastąpiono maszynami, Sawgamet wciąż sprawia wrażenie czegoś oddzielnego od wszystkich miejsc, w których mieszkałem lub które odwiedziłem, i pomimo tego, że nie było mnie tyle lat, pomimo tego, że wiem, iż dzisiejsza noc jest dla mojej matki ostatnią na tym świecie – powrót do Sawgamet wciąż jest dla mnie powrotem do domu.



Gdy mój dziadek przybył do Sawgamet, zanim jeszcze Sawgamet miało nazwę, był już o ponad dziesięć lat spóźniony na gorączkę złota nad rzeką Fraser, niemniej jednak wojna secesyjna skończyła się na południu zaledwie kilka lat wcześniej, a Kolumbia Brytyjska dopiero za dwa lata miała dołączyć do Konfederacji Kanady. Tereny, po których chodził Jeannot, były dziewicze, nietknięte stopą białego człowieka. Tak więc gdy dziadek usłyszał szepty drzew i swoje wyraźnie wymówione imię, „Jeannot”, jak gdyby była przy nim jeszcze jakaś żywa istota poza jego psem, zawahał się i zatrzymał.

Czuł topór, który ścisnął przy samym obuchu, i ciężar strzelby w drugiej ręce; z lekkim przestachem uświadomił sobie, że jeśli będzie trzymał obie rzeczy naraz, to nie będzie mógł użyć żadnej. W lesie zapadła cisza. Jeannotowi przez chwilę zdawało się, że tuż obok siebie widzi młodego chłopaka, swojego rówieśnika, który patrzy nań spragnionym, a zarazem wylęknionym wzrokiem, lecz nim zdążył się obejrzeć, chłopaka już nie było. Jeannot obrócił się z wolna wokół własnej osi, obawiając się zarówno, że kogoś zobaczy i że nie zobaczy.

Za długo już byłem sam, pomyślał mój dziadek, a w dzikich lasach i górach aż nazbyt łatwo można wmówić sobie, że widziało się i słyszało

coś, czego nie ma. Znów zwiesił głowę i pomaszerował dalej wzdłuż strumienia, pod górę, myśląc o tym, że kiedy dotrze na szczyt wzgórza, uda mu się być może zobaczyć ukształtowanie rzeki Sawgamet. Idąc wzdłuż niej, przez kilka ostatnich dni na ogół podążał prosto, szeroką doliną. Za rzeką wznosił się łańcuch górskich szczytów. Jeannotowi podobał się odrealniony widok śniegu, który wieńczył wierzchołki, pomimo że była pełnia lata.

Gdy szlak przywiódł go na polanę, Jeannot odważył się rzucić ostatnie spojrzenie między drzewa, lecz w popołudniowej jasności i przy mroku panującym jednocześnie w puszczy widział tylko na odległość kilkudziesięciu kroków, wciąż więc sądził, że w borze coś jest – i że to coś trzyma się tuż za granicą jego pola widzenia. Gdy tak patrzył, przyczłapał do niego po cichu Flaireur. Jeannot dotknął lekko jego łba, pies zaś potruczał na środek polany i położył się na ziemi nad szerokim strumieniem.

Dziadek zawsze mówił, że psa tego ukradł dziewczynie z Edmonton, która podawała się za wiedźmę; kiedy więc Flaireur – nazwany tak w nadziei na to, że wywęszy jakiś skarb – odmówił owego dnia dalszej wędrowki, Jeannot uznał, że i on dalej nie pójdzie. Od opuszczenia Quesnellemouthe szedł już trzydzieści dziewięć dni, pomyślał więc, że pewnie pies ma rację – podróżować jeszcze jeden dzień znaczyłoby tyle, co narażać się na boży gniew. Dziadek zrzucił swój tobolek, chwycił siekiere i zaczął ścinać gałęzie i młode drzewka na jednospadowy szałas, który oparł o leżące drzewo. Obchodzenia się z toporem i radzenia sobie samemu nauczył się w ciągu dwóch lat i trzech tysięcy mil, które dzieliły Quesnellemouthe od Montrealu. Gdy skończył szałas, narażał zebranego z ziemi drewna na opał, aż miał go więcej, niż potrzeba na całą noc.

Kiedy Jeannot uporał się z drewnem, przymusił się, by wrócić przez las, zejść ze wzgórza nad rzekę i złowić na kolację jakąś rybę, którą będzie mógł się podzielić z psem. Gdy wreszcie zapadł zmrok, Jeannot rozwinął w szałasie swój koc i wsłuchiwał się w cichy szmer strumienia i odleglejszy, stłumiony ryk Sawgamet. Szum wody i trzask żaru kołysły go, podobnie jak powolny oddech psa; Flaireur nie miał ochoty ruszać się z miejsca, na którym wcześniej tego wieczora spoczął, ale teraz wydawał się spokojny. Ciało Jeannota owiewał ciepły wiatr. Dziadek zasnął szybko i bez trudu.

Gdy się obudził, ogień zgasł zupełnie, wiatr zaś całkowicie ustał. Flaireur stał nad Jeannotem, otwierając pysk w bezgłośnym warkocie. Jeannot podczas swej włóczęgi spędził niezliczone noce w mrocznej głuszy, nigdy jednak, aż do dziś, nie czuł strachu. Nim ukradł psa wiedźmie z Edmonton, poszedł z nią do łóżka, a teraz, gdy Flaireur stał nad nim, dziadek pomyślał, że wiedźma wróciła – wprawdzie by ukraść psu głos, a potem by ukraść duszę Jeannota. Dziadek widział zęby psa w świetle księżycy, a gdy wyciągnął rękę, by dotknąć szyi zwierzęcia, wyczuł drżenie, które powinno się nieść jako warkot; jednak mimo to panowała cisza. Wtem zorientował się, że z nocnych ciemności w ogóle nie dobywa się żaden odgłos. Nawet strumień oniemiał.

Dziadek mówił, że nie był pewien, czy najpierw spostrzegł tę istotę, czy ją zwęszył. Nie była to dziewczyna z Edmonton. Było to coś gorszego.

Stwór był rybko blade i wydzielał dławiący odór zepsutego mięsa. Dziadek nie mógł odróżnić, czy to mężczyzna, czy kobieta, lecz gdy potwór szedł chwiejnym krokiem przez niewielką polanę, Jeannot widział jego mlecznobiałe oczy, które najwyraźniej go szukały, jakby poczwara wiedziała, że on tam jest. Włosy zlepiały się jej na ramionach w strąki, a jej skóra była obwisła i plamista. Gdy głowa istoty zwróciła się ku niemu, Jeannot zacisnął dłoń na psim pysku, zamykając go na siłę i uspokajając zwierzę. Stwór jakby się zawahał; Jeannot poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła na myśl, iż maskara mogłaby go dostrzec swoimi zamglonymi oczyma, lecz ta się nie zatrzymała. Następnie, gdy znikła w lesie, powróciły dźwięki. Dźwięki potoku, rzeki, wiatru szumiącego w drzewach – wszystkiego, tylko nie Flaireura. Pies pozostał niemy, a Jeannot wiedział, że sam uniknął czegoś okropnego.

W późniejszych latach, kiedy dziadek opowiadał tę historię Pearlowi i innym, a oni, jak to mężczyźni, opowiadali ją między sobą i podawali dalej, wtedy niektórzy utrzymywali, że Jeannot był zwyczajnie młody i wystraszony albo że mu się to śniło. Że będąc zmęczony, w świetle księżycy wziął niedźwiedzia lub inne zwierzę za jakąś poczwarę. Inni, zwłaszcza ci, którzy spędzili więcej czasu w leśnych ostępach lub mieli do czynienia z Indianami – ci, którzy rozumieli, że wszystkiego jeszcze nie widzieli – ci mu wierzyli. To był *wehtiko* – człowiek zmieniony w potwora, ponoszący karę za kanibalizm – który przybył ogryźć mięso

z kości dziadka. Nie, to był zmiennokształtny, wilkołak, *mahaha*, to był *adlet*, który przybył wypić jego krew.

Kiedy jednak dziadek opowiadał tę historię mnie, zapewniał, że nie było to nic z tych rzeczy. Ten stwór, mówił, to *gallupilluit*, morska wiedźma, która wyczuła chciwość na złoto płynącą przez ciało Jeannota i dlatego po niego przysłała.

Chciwość istotnie płynęła przez jego ciało, niemniej – mimo iż potwór nie wrócił po niego tej nocy – Jeannot postanowił uciec. Nie miał zamiaru się załamywać, choćby nie wiem jak było mu ciężko – trawiło go bowiem palące pragnienie znalezienia złota w północnych zakątkach tego nowego kraju – ale nie miał też najmniejszej ochoty spędzać kolejnej nocy w szałasie i czekać, aż stwór powróci.

Następny ranek minął mu na nakłanianiu psa, aby wyruszył wraz z nim. Jednak podobnie jak poprzedniego dnia, Flaireur nie chciał zrobić ani kroku. Trzymał się blisko szałasu i nie przestawał bezgłośnie szczeleć – jego szczeniasty pysek opadał i kłapał, nie wydając żadnego dźwięku. Jeannot pomyślał przez chwilę, czyby nie zdzielić psa w łeb obuchem topora, ale nie mógłby się na to zdobyć. Zamiast tego zszedł po zbocz, między drzewami, w nadziei na to, że świeżo złapana ryba zdoła może zachęcić psa, by zszedł z posterunku.

Siedząc na brzegu rzeki, dziadek pomyślał o smrodzie zepsutego mięsa wydzielanym zeszłej nocy przez stwora. Zdecydował, że opuści obozowisko, nawet jeśli Flaireur nie zechce mu towarzyszyć. A jeszcze wczoraj taki był pewny swojej decyzji, by się tu zatrzymać. Sądził, że opór psa wobec dalszej podróży to znak, że tutaj jest mu pisane zdobyć fortunę. Nie wiedział nic o wydobyciu cennego kruszcu – tylko tyle, że po dziesięciu latach od gorączki złota nad rzeką Fraser łatwo może skończyć jak wszyscy inni nieopierzeni poszukiwacze, którzy przybyli za późno, harowali jak woły i odeszli z pustymi rękami.

Nim Jeannot opuścił sierociniec i rozpoczął wędrówkę na zachód, zakonnice sądziły, że będzie księdzem, i stosownie do tego go kształciły, jednak to, co wiedział o religii, gdy ruszył na zachód, nie bardzo mu się przydało w dziczy. Kiedy nocą przyszedł do niego potwór, Jeannot uznał, że przypisał zmęczeniu psa zbyt duże znaczenie. Nie chciał zostawić towarzysza, ale gdy siedział nad rzeką i czekał, aż ryba chwyci

przynętę, wiedział, że boi się powrotu tej istoty; jej fetor był zbyt bliski jego wyobrażeniu o tym, jak jego własne ciało będzie śmierdziało po śmierci.

Żyłka szarpnęła mu się w rękę, więc zaczął ją z wolna wyciągać. W spokojnej wodzie przy brzegu zobaczył małego, niebieskawego pstrąga, któremu haczyk wbił się w pysk. Ryba walczyła wprawdzie zaciekle, ale szkoda było zachodu, żeby ogryźć tę odrobinę mięsa z jej ości. Był gotów czekać na coś większego, coś, czym mógłby się podzielić z psem po równo. Wyciągnął pstrąga z wody, wyjął haczyk i wrzucił rybę oraz żyłkę z powrotem do wody. Ryba natychmiast pognąła znów w stronę pustego haczyka – bo pędraka, którego Jeannot użył na przynętę, już tam nie było – capnęła mocno haczyk i połknęła go. Jeannot uznał, że skoro śpieszno mu ruszać w drogę, nim znów zapadnie noc, to ta ryba mu wystarczy.

Znalazłszy się z powrotem w obozie, dziadek odciął cienki plaster mięsa z grzbietu pstrąga i rzucił go psu. Flaireur złapał go w powietrzu, ale nic nie wskazywało na to, aby zamierzał ruszyć się ze swego miejsca. Pies, wciąż niemy, wydał z siebie pozbawione oddechu szczeknięcie, a Jeannot cisnął mu jeszcze jeden kawałek. Potem obrócił rybę i rozcinając ją czubkiem noża wzdłuż ości, odkroił filet. Zamachał zwisającym plastrem, a gdy tak nim kiwał, Flaireur przechylił łeb, śledząc ruchy pana, ale nie ruszył się ze swego miejsca. Jeannot cisnął filet w powietrze. W tym momencie uwagę dziadka przykuł jakiś błysk.

W pierwszej chwili Jeannot pomyślał, że to refleks światła odbity od noża, ale gdy spojrzął na okrojoną tuszę, którą trzymał w dłoni, dostrzegł, że coś błyszczący we wnętrzu pstrąga. Wbił szpic noża do na wpół rozprutych wnętrzości ryby i odsłonił złoty samorodek. Wydobył go palcami, podszedł do strumienia i opłukał go. Bryłka złota błyszcziała od słońca, kiedy trzymał ją w powietrzu. Była lita i niekształtna – zdeformowany żołądz wielkości końcówki jego kciuka.

Jeannot dał psu pozostałe ochłapy pstrąga, a następnie wziął łopatę oraz miskę i ruszył w dół, przez las, z powrotem nad rzekę. Do diabła ze ślepą maskarą, pomyślał dziadek, do diabła z puszcza – nie przegnąją go. Złowił rybę ze złotem w brzuchu i żadne potwory ani szepczące drzewa nie zdołają go wypędzić znad rzeki Sawgamet.

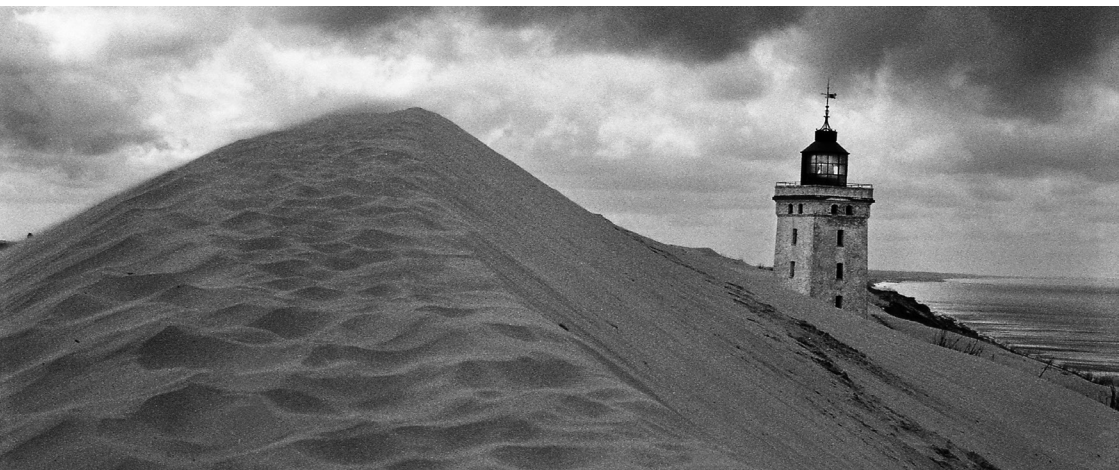
Wiatr od morza to...

*zapach kanadyjskich lasów
gwar angielskich portów
piaski Afryki
ostra woń chłodnego, arktycznego powietrza
okrzyki rybaków zarzucających sieci
smak soli w ustach*



...gdańskie wydawnictwo założone przez Michała Alenowicza,
miłośnika książek i tłumacza literatury anglojęzycznej.

Wyszukujemy dla Państwa wyjątkowe i wręcz magiczne książki – prawdziwe rarytasy światowej literatury. Nieraz są to zapomniane i nigdy nie tłumaczone na język polski dzieła, nagradzane przed laty prestiżowymi nagrodami, innym razem niezwykle powieści wciąż nieodkrytych w Polsce pisarzy młodego pokolenia. Lubimy wyobrażać sobie, że sprowadzając je do Polski stajemy się niczym dawni gdańscy kupcy, zaopatrujący niegdyś kraj w egzotyczne przyprawy i drogie tkaniny. Niech i dziś z prastarego nadbałtyckiego portu płynie to, co dodaje życiu smaku – wyjątkowa, poruszająca wyobraźnię literatura na najwyższym poziomie.



fot. Magdalena Alenowicz

*www.wiatrodmorza.com
www.facebook.com/wiatrodmorza*